

A profile photograph of a woman wearing an elaborate white lace hat with a large, ruffled veil. She is also wearing a white lace dress and a pearl necklace. The background is a plain, light-colored wall.

**Helena Pajzderska**

**Miss Lilian Aimley**

**Helena Pajzderska-Rogozińska**

# **Miss Lilian Aimley**



**Fundacja FESTINA LENTE**

Miss Lilian jest misjonarką. W dwudziestym drugim roku życia uczuła nagle powołanie do nawracania Murzynów, na jedną z tysięcy i kilku sekt, jakie z łona anglikańskiego kościoła wyrosły jak z rogu obfitości, by się nawzajem gryźć między sobą.

Powołanie to, dziwnym zbiegiem okoliczności, zrodziło się w niej jednocześnie ze zgaśnięciem żywionej w sentymentalno-światowym serduszku nadziei, że młody, piękny, bogaty i w samą miarę sztywny sir Hugo Heaton poprowadzi ją do ołtarza, skąd po miesięcznej miodowej podróży *on the continent*, zabierze ją na wiosnę do Londynu, na lato do swej wiejskiej posiadłości nad brzegiem morza, na jesień do swego zameczku wśród szkockich błot i wzgórz, a na zimę do Paryża. Nadzieje te, co prawda, opierały się na bardzo mglistych podstawach i sir Hugo byłby się zdziwił nie pomалу, gdyby mu powiedziano, że postępowaniem swym dostarczył materiału do budowy tych hiszpańskich pałaców...

Poznał on miss Lilianę na jakimś letnim party; był jej sojusznikiem przy krokiecie, wyraził swe ubolewanie, że się uderzyła w nogę, a następnie

spacerował z nią po ogrodzie przy blasku księżyca i zerwał dla niej białą różę. Róża odczepiła się jakoś od stanika miss Liliany, sir Hugo podniósł ją i powąchał, zaś miss Lilian, dzięki księżycowemu światłu i romantycznemu nastrojowi — które to obydwie czynniki bywają powodem wielu optycznych złudzeń — wyobraziła sobie, że ją... pocałował.

Odtąd dzień i noc marzyła o jego poważnych, siwych oczach i poważniejszych jeszcze familijnych brylantach. Sir Hugo istotnie, przez cały czas owego party przebywał dość często w jej towarzystwie, po trosze dlatego, że nie miał żadnej wyraźnej przyczyny, aby w jej towarzystwie nie przebywać, bo była młoda i ładna, a po trosze, iż psotnik los sam tak okoliczności układał. Przy obiedzie robił go jej sąsiadem i wtedy sir Hugo poczytywał sobie za obowiązek prowadzić z nią rozmowę, przeplataną sakramentalnymi pytaniami:

— *Can I help you with some salmon?* albo *Can I help you with some pie?*

Na co miss Lilian, rumieniąc się, odpowiadała:

— *Oh, yes, please!* lub *Oh no, I would rather try some chicken!*

Dzięki tym gastronomicznym wymianom myśli i innym zawiązał się pomiędzy nimi stosunek pewnej serdeczności, w którym każde słowo, wypowiedziane przez sir Hugona, a przetłumaczone na język małżeńskich *desideratów* miss Liliany, nabierało zupełnie innego znaczenia, niż mu je chciał nadać autor w prostej angielszczyźnie, i gdy się wreszcie po kilku tygodniach rozstali, piękna panna była pewną, że jej

bohater podąży za nią wkrótce do domu jej matki — oświadczyć się o jej rękę.

Toteż, gdy zamiast tego, po kilku miesiącach daremnego oczekiwania, dowiedziała się, że niewdzięcznik pojechał do Indii polować na tygrysy — lekarstwo, którego paniczne angielscy używają na zgubienie spleenu, jak my używamy pastylek ślazowych na zgubienie kaszlu — uczuła się najbardziej zawiedziona, nieszczęśliwą istotą na świecie i powiedziała sobie, z egzaltacją panny, wychowanej na trzytomowych powieściach, iż życie, jako takie, nie przedstawia już dla niej żadnego powabu i celu, że powinna poświęcić się kapłaństwu jakiejś szczytnej idei.

Wprawdzie miss Lilian miała matkę wdowę, ożenionego starszego brata i młodszą siostrę podlotka i gdyby nawet rozbrat jej z osobistymi pragnieniami szczęścia był szczerym, byłaby znalazła wokoło siebie dość pożytecznych sposobów zapełnienia egzystencji; ale jest to specjalnością podobnych do miss Lilian panien, że widzą zawsze rzeczy dalsze, zamykając oczy na bliższe.

Zresztą misjonarstwo otaczało ją w jej mniemaniu jakąś aureolą; łudziła się, że w blaskach tego nimbu stopnieje lodowate serce sir Hugona; że gdy wróci i dowie się, co się z nią stało, zrozumie powody i pośpieszy przywrócić ją mniej podniosłym, lecz za to po ziemsku ponętniejszym celom życia, a mianowicie wiosnie w Londynie, latu nad morzem, jesieni w Szkocji i zimie w Paryżu.

Stało się więc, że mimo próśb, oporu i przekładań rodziny miss Lilian, poczyniwszy odpowiednie kroki w którymś z New United Presbyterian Mission Society w Londynie, pożegnała rozpaczającą matkę, ruszającego ramionami brata i oszołomioną jej postępkiem siostrzyczkę i zaopatrzona w Biblię, w zbiory hymnów i małe, jaskrawe książeczki dla Murzyniątek, popłynęła do Kalabaru.

Podróż była długa i przykra. Miss Lilian cierpiała mocno na morską chorobę i nudziła się śmiertelnie wśród obcych zupełnie twarzy. Była jedyną kobietą na pokładzie, a ponieważ względem mężczyzn przyrzekła sobie opancerzyć się w niewzruszoną obojętność, więc, choć poczciwy stary kapitan i kilku pasażerów chcieli z początku okazać jej życzliwość, odstręczała ich wnet skutecznie.

Całe dni spędzała pod płóciennym dachem górnego pokładu, marząc o swym bohaterstwie, o wrażeniu, jakie ono na sir Hugonie sprawi. Może już śpieszy za nią?

Gdy wreszcie okręt, rzuciwszy morskie obszary, wpłynął na wąskie, mangrowiami obrzeżone koryto rzeki kalabarskiej i zapuścił kotwicę przed Duke Town, miss Lilian uczuła dziwny ból, żal, przerażenie. Zdawało jej się, że ten łańcuch kotwiczny, który ze zgrzytem zapadał w nieznane głębie i ją także przykuwa na zawsze do tego obcego, straszego lądu. Nie było jeszcze wtedy faktorii na brzegu, które teraz tak urozmaicają i ożywiają rzekę, otwierając na nią paszcze swych olbrzymich magazynów, w których jak zęby

potwora bielą się rzędy wielkich, owapnionych beczek oleju palmowego, błyszcząc w słońcu swymi cynkowymi dachami, co się podnoszą nad zielenią ogrodów, opasanych białym sztachetowaniem. Agenci handlowi, lękając się klimatu i rozboju ze strony Kalabarczyków, mieszkali wszyscy na hulkach, czyli stale na rzece stojących i rozmasztowanych okrętach, i tam skupiał się cały ruch i handel.

Brzeg smutny był i pusty. Tylko żółte, gliniane chaty krajowców szarzały w krzywych liniach, jeżąc wzgórza jak olbrzymie ścierniska tarasami swych bambusowych, postrzępionych dachów.

Miss Lilian, wsparta o burtę, bardziej niż kiedykolwiek osamotniona, w tej chwili ogólnego zamieszania drżała od chłodu posepnego, dżdżystego dnia i posepniejszych jeszcze własnych myśli. Byłaby chciała cofnąć się, wrócić... wrócić za jakąkolwiek cenę, choćby wpław morze przepłynąć. Ale nie trwało to długo...

Na pokład przybyły dwie misjonarki, uprzedzone już o jej przybyciu, ucałowały ją, wzięły między siebie, a raczej między swoje gumowe płaszcze, bo ich chude postacie ginęły we wnętrzu tych szacownych okryć, i wkrótce miss Lilian wraz ze swymi kuferkami znalazła się na wybrzeżu.

Kalabar w porze deszczowej wydał jej się jeszcze bardziej zniechęcającym z bliska niż z daleka. Nie nawykła do dróg podobnych, ledwo wdrapała się na wzgórze po stromej niby-ścieżce, pełnej wybojów i błota, gdzieniegdzie nad samą krawędź przepaści

zabiegającej. Odór kóz i oleju palmowego w wązkich, nędznych uliczkach, zamieszkanym przeważnie przez ludność niewolniczą, którymi trzeba było przechodzić, dusił ją i przejmował wstrętem.

Nazajutrz dostała silnej febry. Leżąc w gorączce, wyobrażała sobie ciągle, że lada chwila drzwi się otworzą, wejdzie sir Hugo, blady, drżący, padnie przed nią na kolana i w namiętnych słowach błagać ją będzie, by mu przebaczyła to, co przez niego wycierpiała. On się nie domyślał... sam siebie pojechał doświadczać... i widzi, że ją jedną kochał, ją jedną... na zawsze!

Ale zamiast sir Hugona, z miłosną tyradą, zjawiała się przy łóżku miss Lilian stara Murzynka, dozorczyńni z dozą chininy, zawijaną w opłatek jej czarnymi, pomarszczonymi palcami. Misjonarki zajęte były w szkole i w *meeting housie* i nie miały czasu pielęgnować nowej koleżanki.

Po kilku dniach miss Lilian wróciła do zdrowia i zaczęła się oznajamiać ze swymi obowiązkami. Zaprowadzono ją do szkoły, gdzie panował nieznośny zaduch z kilkudziesięciu Murzyniątek, pocących się nad angielskim abecadłem. Miss Lilian usiłowała wmówić w siebie, że czuje humanitarną miłość dla tych dzieci; w gruncie czuła tylko ich pot i zdumiewała się nad tępością ich mózgownic. Następnie zwiedziła kilkanaście chat dla zawarcia znajomości z ich czarnymi, otyłymi gospodyniami, by od czasu do czasu przychodzić do nich, śpiewać z nimi hymny i odprawiać medytacje.



Nazajutrz dostała znowu febry. Przez pierwszych kilkanaście miesięcy zapadała bardzo często; aklimatyzacja jej była wyjątkowo ciężką. Przełożony misji *The Reverend* Lawrence Jones ruszał swymi kościstymi ramionami i splatając bezkrwiste ręce na wklęsłej piersi, mawiał tym specjalnym, misjonarskim tonem, który sprawia, że proste „dzień dobry” w ich ustach wydaje się strzelistą modlitwą, iż kto nie może znieść klimatu, ten nie powinien przyjeżdżać i sprowadzać misji kłopotu, jak gdyby biedna miss Lilian wśród swych zdrowych walijskich wzgórz była to mogła przewidzieć!

I koleżanki jej, wskutek tych uwag wielebnego pana Lawrence Jonesa zaczęły ją namawiać, by wróciła do Europy, ale ona nie chciała o tym słyszeć. W jej egzaltowanej, słabej na wielu punktach głowie tkwiła potężna doza uporu i ambicji, większa niż wszystkie dawki chininy razem wzięte, jakie zażyła. Wracać do Anglii? Po przycinki brata, po litościwe spojrzenia znajomych, po lekceważenie samego może sir Hugona? — Nigdy!

Zresztą cóżby tam robiła? Tu miała przynajmniej swój cel... i... tę nadzieję, której już po trosze sama przed sobą zaczynała się wstydzic, że jeżeli wróci, to inaczej: z tryumfem, wsparta na ramieniu swego nawróconego rycerza. Została więc i chorowała w dalszym ciągu; tylko ataki febry stawały się coraz słabszymi, a romantyczne widzenia coraz bledszymi.

Z początku oczekiwała niecierpliwie każdego parowca z Anglii i wieści z domu. Kochała matkę i

rodzeństwo, byłaby chętnie uczyniła dla nich jakieś poświęcenie, byle nie to jedno, proste i naturalne, żeby żyć pośród nich, może dlatego właśnie, iż było tak prostym i naturalnym i pragnęła słyszeć o nich jak najczęściej. Sama pisywała także długie listy, wspominając tylko nawiasowo o złym stanie swego zdrowia, a natomiast rozszerzając się nad piękną działalnością i użytecznością swego życia. Chciała, by wierzone, iż jej wiara w ideały nie zawiodła...

Z czasem jednak, czy to skutkiem fizycznego wycieńczenia, czy nawyknięcia do warunków bytu, jaki sobie obrała, zaczęła obojętnieć na wszystko, co się działo po za obrębem domu, szkoły i *meeting house*'u. Bezczynność spowodowana chorobą; rozmowy z koleżankami, kręcące się zawsze koło jednych i tych samych przedmiotów, płytkie i drobiazgowo jak one same; apatyczna ospałość misjonarskich niedziel — tych dni spędzanych od rana do wieczora tylko na śpiewaniu hymnów i rozmyślaniach, tych dni głuchych, w których wesoły śmiech uchodził za świętokradztwo: wszystko to wsączało się w jej duszę, przejmując ją jakimś chłodnym, martwym spokojem.

Lustro mówiło jej, jak nieprawdopodobnie prawie zbrzydła i zestarzała się w ciągu jednego roku, a ta czysto angielska praktyczność, która nawet do najsentymentalniejszych serc angielskich dziewczyc drogę znaleźć umie, szeptała jej jednocześnie, że szansę matrymonialnego zakończenia sprawy sir Hugona znakomicie się zmniejszyły. I dziwna rzecz: w chwili, gdy musiała powiedzieć sobie, że już ostatecznie

przepadły, miss Lilian uczuła się zadowolona, a zadowolenie to nie miało w sobie nic z tych moralnych pierwiastków duchowego uspokojenia, jakiego doznają dusze rzeczywiście zranione, które przebolewały ból swój krwawy i pogodnie blizny swe po świecie noszą. Była to raczej fizyczna jakaś ulga, jakby po zdjęciu... niewygodnego trzewika lub ciasnej sukni.

Kosztem stygnącej uczuciowości zaczęła się w niej teraz rozwijać czysto sekciarska formalistyka. Nie darmo jedynym jej towarzystwem poza murzyńskimi dziećmi byli ludzie, którzy szczyt moralności widzieli w ciągłym cytowaniu Biblii, w jak największej liczbie odśpiewanych dziennie hymnów i w *teatoteleryzmie*. (*Teatoteler* nazywa się członek towarzystwa wstrzemięźliwości, który wyrzekł się na zawsze używania napojów alkoholowych. Misjonarze angielscy są wszyscy *teatotelerami* i niektórzy dochodzą w tym aż do śmiesznego fanatyzmu – objaśnienie autorki)

Miss Lilian, w części przez krańcowość swej natury, a głównie przez pozostałą w niej światową żądzę wyniesienia się ponad innych, stała się najżarliwszą *teatotelerką*. Nawet w chorobie nie można jej było skłonić do wypicia kilku kropli wina.

— Wolę umrzeć — odpowiedziała zniecierpliwionemu lekarzowi, który oświadczył jej wręcz, że nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności za życie tak upartej pacjentki.

Było to w trzecim roku jej pobytu w Kalabarze, kiedy po dość długiej przerwie zapadła na groźną gastryczną febrę. Nie umarła jednak: po kilku

miesiącach ciężkich cierpień znalazła się znów na swym stanowisku w cuchnącej izbie szkolnej, wśród spotniałych dzieciaków, ale resztką jej młodości i urody przepadła niepowrotnie w długiej walce organizmu z zabójczą chorobą. Radzono jej odbyć *change-trip* (*change-trip* – podróż dla zmiany klimatu, jaką wszyscy Europejczycy, przebywający w Afryce, odbywają co parę lat jako warunek *sine qua non* tropikalnej higieny – przyp. aut.) do Europy, ale ponieważ koledzy jej i koleżanki zwykle tylko trzy lata przebywali na brzegu bez zmiany klimatu, ona postanowiła przebyć — sześć.

Z uśmiechem skrytej dumy słuchała niedowierzających uwag pewna, iż zdoła zawstydzić sceptyków. Jakoż dzięki wyjątkowo silnej i zdrowej naturze, spotkał ją ten tryumf. Wielebny Lawrence Jones, który z początku tak lekceważąco ją traktował, zaczął spoglądać na nią z coraz większym poszanowaniem, a że był nieżonatym i ocenił, jak szacownym nabytkiem byłaby dla niego tak wytrwała towarzyszka, przeto zaproponował jej zawarcie z nim świętych małżeńskich związków, naturalnie z taką samą intonacją i gestami, jakimi w niedzielę przy pulpicie rozrzewniał swe czarne słuchaczki.

Ale nie rozrzewnił miss Liliany. Przeciwnie: ile tylko zostało w niej ziemskich uczuć, wszystkie zawrzały zgrozą, że misjonarz, prosty misjonarz, śmiało oświadczyć się o rękę, jej, która w swoim czasie spodziewała się zostać żoną sira.

Była to wielka niekonsekwencja u miss Liliany, która jako misjonarka z powołania powinna była

uważać ten stan za kwiat społecznych stanowisk; niemniej przecież pozostała faktem.

Z wielką oględnością, aby nie narazić sobie przełożonego, odpowiedziała mu, że byłby to dla niej wielki zaszczyt, ale że uczyniła ślub nie wychodzić za mąż, a gdy owych sześć lat kończyło się właśnie, skorzystała z tego, aby wyjechać do Europy i dać czasowi strawić gorycz zawodu w sercu wielebnego Lawrence Jonesa.

W Anglii matka rozplakała się, ujrzawszy swoją śliczną Lilianę tak straszliwie zmienioną; siostra, która była w całym rozkwicie swych panięskich wdzięków, patrzyła na nią z rodzajem przestachu, brat zaś pokiwał tylko flegmatycznie głową, jak gdyby dając do zrozumienia, że był na to przygotowanym. Znajomi zachowywali dyskretne milczenie, ale wyraz ich twarzy mówił wiele!

Miss Lilian przyjmowała to wszystko z pogardliwym stoicyzmem. Ci ludzie, kłopotający się o różne rzeczy, które dla niej straciły już wszelką wartość, a nieinteresujący się postępem Murzyniątek w śpiewach chóralnych, wydali się jej dziwnie małymi, ułomnymi.

Raz tylko drgnęło w niej coś po dawnemu i na wyzótkle, zwiędłe lica sprowadziło przelotny rumieniec, a było to wtedy, gdy ubłagana przez matkę, aby z nią i siostrą była na jakimś proszonym obiedzie, ujrzała naprzeciwko siebie przy stole sir Hugona Heatona.

Sir Hugonowi posłużyło polowanie na tygrysy. Zmęźniał, ożywił się i był wielce zajęty rozmową z prześliczną blondynką, która patrzyła na niego swymi

naiwnymi, fiołkowymi oczyma. Nie potrzeba było wielkiej bystrości, żeby się domyśleć, iż ta blondynka posiada to wszystko, co niegdyś było ideałem miss Liliany i czego nieurzeczywistnienie popchnęło ją w objęcia misjonarstwa i *teatoteleryzmu*. Sir Hugo spojrział na nią parę razy i — ani razu nie poznał.

Posmutniała miss Lilian; sny młodości stanęły jej przed oczyma, żal cichy, dojmujący szarpał jej sercem jak wówczas przy lądowaniu w Kalabarze, ale wtem spostrzegła, że sir Hugo wychylił kieliszek sherry, a następnie kazał sobie nalać piwa — i smutek jej, który na chwilę złagodził był jej zeszywniałe rysy wdziękiem melancholii, prysnął jak szkło kruche.

Nie! Człowiek, który z taką grzeszną lubością pił wino i zalewał się piwem, nie był dla niej przeznaczonym. Nie byliby się nigdy zrozumieli.

To przeświadczenie — trochę zielonymi winogronami trącające — było ostatnią kroplą, jaka dopełniła naczynia jej wewnętrznej równowagi.

Wkrótce potem objawiła zamiar rychłego powrotu do Kalabaru. Wszyscy się opierali. Matka klękała niemal przed nią. Była już starą, schorowaną i miała przeczucie, że jej już nigdy więcej nie zobaczy. Bratowa, delikatna, cicha kobietka, umęczona wychowaniem sześciorga malców, mówiła sobie, że skoro Lilian tak koniecznie chce się zajmować dziećmi, nie potrzebowałyby ich szukać aż w Afryce i coś w tym duchu napomykała nieśmiało. Brat nazywał Lilianę bez ogródki wariatką, siostra nie szczędziła jej perswazji i wymówek.

Ale łzy, przygryzki i prośby oślizgiwały się jednakowo po stalowej obojętności miss Liliany. Żądania te po prostu wydawały jej się śmiesznymi. Zostać tu, gdzie była pyłkiem w szarym тумanie ogółu, gdzie tyle rzeczy drażniło ją, gorszyło i oburzało, podczas gdy tam zyskała już sobie przewagę i znaczenie, które wciąż wzrastać będą, i prowadziła życie zgodne ze swymi upodobaniami i pojęciami! A przy tym, ponieważ człowiek zawsze do czegoś dążyć i za czymś tęsknić musi, więc i ona miała na dnie duszy plan pewien, którego dopięcie uśmiechało jej się tak prawie, jak ongi małżeństwo z sir Hugonem.

Oto obiecywała sobie, że kiedyś, po latach, oszczędnością i drobnymi dochodzikami, jakie prawie niechcący zdarzały się w stosunkach z czarnymi, powiększy o tyle przypadającą na nią z rodzinnego działu sumkę, że kupi domek i na własną rękę otworzy nowy *meeting house* nowej sekty, której będzie głową. Na czym właściwie miała się zasadzać różnica tej nienarodzonej jeszcze kongregacji od już istniejących, nie wiedziała dotąd sama, ale to był wzgląd uboczny.

Odjechała więc, marzeniami tymi skracając sobie powtórny drogę do przybranej ojczyzny, która po dawnemu przyjęła ją deszczem, febrą i innymi przypadłościami związanymi ze zwrotnikowym życiem.

Tym razem jednak okres aklimatyzacyjny prędko się dla niej skończył i znowu silna i czynna budziła w dalszym ciągu żółciową nieco admirację wielebno go Laurence Jones'a i tajoną zazdrość koleżanek.

Dzieci bały się jej; przewaga jej nad nimi była widoczną. Imponowała im jej wysoka postawa, nieruchoma, zawiędła twarz, pełne determinacji ruchy i głos, zawsze jednakowy, suchy i spokojny. Imponowały im także jej czarne, aksamitne suknie, bo miss Lilian, choć zerwała ze światem, nie była abnegatką w ubiorze i w oczach swych pupilów, niemogących śledzić przewrotów mody, uchodzić mogła za szczyt bezprzykładnej elegancji. Czarny aksamit zaś upodobała sobie dlatego, że był on krzyzącym protestem przeciw prawidłom podzwrotnikowej higieny, wyróżniał ją stanowczo z pomiędzy Europejczyków na brzegu, ubierających się jak należy, to jest jak najjaśniej, i w trzydziestostopniowe upały wywoływał na usta wszystkich wykrzykniki podziwu:

— Jak można w tak ciężkiej sukni wytrzymać!

Miss Lilian wtedy prostowała się tylko z lekkim poruszeniem ust, które miało znaczyć:

— Ubierajcie wy się w perkaliki i płócienka i tak będziecie kwękać, a ja w moich aksamitach zawsze was przeskoczę.

Żadna z misjonarek nie klaskała tak dobitnie w ręce przy marszach i śpiewach, jakimi rozpoczynano i kończono lekcje; żadna nie miała tak bystrego oka i nieprawdopodobnie czujnego ucha. Na nic się zdało chcieć wyprowadzić w pole miss Lilian Aimley.

Jeszcze nie skończył się rok drugiego jej pobytu na brzegu, gdy otrzymała od siostry list z doniesieniem, że wychodzi za mąż. List był pełen zapału i najróżowszych



nadziei na przyszłość — taki, jakie zwykły pisywać rozkochane narzeczone.

Miss Lilian odczytała go, wzruszając lekko ramionami. Miała zaledwie trzydzieści lat, a przecież gdyby jej siostra napisała była w ten sposób do osiemdziesięcioletniej staruszki, byłaby lepiej zrozumiana.

W odpowiedzi na swe wynurzenia serdeczne otrzymała błogosławieństwo suche jak cynamon i zaprawione purytańską pogardą dla ziemskich marności. Miss Lilian nie spytała jej nawet o dzień ślubu.

W parę lat potem umarła matka, przesławszy nieobecnej córce pożegnanie ostatnie, konającą skreślone ręką. Trzeba oddać sprawiedliwość miss Lilianie, że nad tą zagrobową ćwiartką uroniła parę łez, choć ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, iż uporem swym zatrąła starość tej kobiety i osierociła ją, nie mając na swe usprawiedliwienie słów Pisma Świętego, które każe „opuście ojca i matkę, a iść za mężem swoim”.

Były to ostatnie łzy jej życia. Odtąd fala wypadków przepływała koło niej jak koło skały, która pod żadnym prądem nie zadrga.

Po sześciu latach wróciła znów na czas krótki do Anglii. Tym razem poznali ją wszyscy. Nie zmieniła się ani na jotę; przybyło jej może trochę więcej zmarszczek, cera stała się trochę żółtszą; zresztą była tą samą zastygłą ludzką mumią, tym dziwniejszą, iż czuło się pod tą formalną skorupą tlejący ogień bezdennego fanatyzmu, który wystrzeliwał jak stęchlizną ziejąca

raca na widok butelki z winem lub koniakiem i niewinnej wesołości młodzieży w dnie niedzielne.

Bawiła tylko cztery miesiące, czas dłużył jej się niezmiernie.

Czuła się zupełnie obcą wśród najbliższej rodziny. Brat ochłódł dla niej ostatecznie, miał do niej żal za wylane przez nią łzy matki, za swoją słabowitą żonę, której ta niemająca żadnych naturalnych obowiązków kobieta taką mogła się stać pomocą. Siostra była zatopiona w mężu i dwojgu ślicznych dziecinach; gromadka siostrzeńców spoglądała na nią z rodzajem zabobonnego lęku i ciekawości, jak na zjawisko z bajek.

Miss Lilian, aczkolwiek mająca ciągle do czynienia z dziećmi, nie lubiła ich. Powołanie swoje traktowała jak wszystko, po purytańsku, skrupulatnie, z chłodną jakąś zaciętością niemal. Nie było w niej nic z tej cudownej, garnącej ku sobie słodyczy boskiego nauczyciela, który mówi: „Dozwólcie dziatkom przyjść do mnie”. Ona mówiła po prostu: „Musicie przyjść”.

Trzeci jej powrót do Kalabaru był rodzajem tryumfalnego wjazdu. Sam przełożony misji — już nie wielebny Laurence Jones, bo ten umarł na katar żołądka — ale inny *The Reverend* William Prat powitał ją na pokładzie wraz ze swą żoną, potulną gąską, od miesiąca zaledwie przybyłą do Afryki i usposobioną już przez to, czego się o miss Lilian nasłuchiwała, do patrzenia na nią oczyma prawdziwie gęsiego zachwyty.

Miss Lilian miała teraz za sobą dwanaście lat misjonarskiego życia, narzeczem Efik władała jak

rodowita Kalabarka, w wielu razach odwoływano się do jej doświadczenia, stawiano ją za przykład.

Rosła też w przyczajoną i do głębin duszy sięgającą dumę. Powoli doszła do tego, że swe rzeczywiście wyjątkowe zdrowie zaczęła poczytywać sobie za osobistą zasługę i lekceważąco patrzeć na wątlejsze organizmy, które klimat łamał. Każdy zaś, kto mógł dłużej wytrzymać na brzegu, stawał się w jej oczach rywalem i ściągął na siebie jej niechęć. Febry opuściły ją prawie zupełnie, a jeżeli czasem dostała lekkiego ataku, kryła się z nim jak ze zbrodnią, aby nie stracić „prestżu”.

Lata płynęły. Od owego czasu do chwili, kiedy spadł na mnie zaszczyt poznania miss Liliany, upłynęło ich osiemnaście — razem trzydzieści jej misjonarskiego zawodu. Przez ten czas umarła jej bratowa, zostawiając cztery dorosłe córki, z których żadna nie była zamezną. Była to kłopotliwa odpowiedzialność dla biednego wdowca, ile że skromne fundusze i potrzeba kształcenia synów nie pozwalały mu na trzymanie dla nich damy do towarzystwa. Młodsza siostra opiekowała się siostrzeńcami jak mogła, ale od matki, obciążonej liczną dziatwą, trudno było żądać, aby gdy czas żałoby się skończył, bywała z panienkami w świecie i ułatwiała im możliwość używania właściwych i potrzebnych młodemu wiekowi rozrywek.

Biedne dziewczęta kwaśniały w domu i dwie z nich tylko, w dość spóźnionej już dobie, znalazły mężów. Miss Lilian była jakby stworzona na duegnę, ale nikomu nie przyszło nawet na myśl odwołać się do niej.

Ona sama raz tylko przypomniwała sobie o siostrzenicach, po to, aby im zaproponować przybycie do Kalabaru.

Była bliską urzeczywistnienia swych założycielskich planów i takie cztery młode apostołki byłyby jej się przydały. Ale ojciec ich załatwił się w nieparlamentarny zgoła sposób z miss Lilianą i jej propozycją, odpisawszy jej krótko i węzłowato: „*Go to hell*” („Idź do licha”) i od tej chwili stosunki pomiędzy nimi zerwały się zupełnie.

Zresztą miss Lilian nie zaglądała już do Anglii. Ograniczała swe *change-tripy* na Wyspach Kanaryjskich, a raz, korzystając z uprzejmości angielskiego okrętu wojennego, odbyła podróż do Przylądka Dobrej Nadziei.

Popularność jej (w najbardziej suchym znaczeniu tego słowa) stała się olbrzymią na brzegu. Nie wiedzieć, kto jest miss Lilian, znaczyło mniej więcej to samo, co u nas nie wiedzieć, kto jest pani Lucyna Ćwierczakiewiczowa; z tą różnicą wszelako, że panią Lucynę wielu lubi, wielu jej się boi, miss Liliany zaś nikt nie lubił i nikt jej się nie bał (wyjąwszy dzieci), bo od tej kamiennej istoty nikt ani dobrego, ani złego spodziewać się nie mógł.

Ale wszyscy ją znali, wszystkim imponowała jej trzydziestoletnia misjonarska praktyka i wszyscy szanowali w niej to, co nawet afrykański klimat uszanować potrafi: niespożyty organizm i niesłabnącą nigdy energię.

Czy jednak ludzkość odnosiła tak wielką korzyść z tych przymiotów i darów, którymi miss Lilian ani matce, ani rodzeństwu przysłużyć się nie chciała? Niech na to odpowiedzą ci wszyscy, którzy mieszkając w Afryce, mogli przypatrzeć się działalności samych misji i mieli do czynienia z tak zwanymi „misjonowanymi czarnymi”.

Zdarzają się naturalnie wyjątki — tak między misjami na przykład najgorętszego uznania godna misja katolicka w Gabonie — jak między ich wychowawcami; bywa jednak najczęściej, że złodzieje i próżniacy rekrutują się z pomiędzy tych wyśrubowanych na parodię cywilizowanego człowieka dzieciaków, które z wykładanej im w spaczony sposób nauki o równości ludzi czerpią na dalsze życie trudną do wyobrażenia arogancję i bezczelność w stosunkach z białymi i uważają się za zupełnie czystych w sumieniu, jeżeli nakradłszy i nakłamawszy przez cały tydzień do woli, spędzą niedzielę z założonymi rękami w *meeting housie* na śpiewaniu hymnów i błogiej drzemce podczas długich jak podróż zaatlantycka kazań różnych wielebnych, z powtarzającymi się niechybnie frazesami w rodzaju: *A bright spot for Christ is the dark benighted Africa* („Jasnym punktem dla Chrystusa jest ciemna, w nocy pogrążona Afryka”) i tak dalej.

Ach, ten wyraz „Chrystus” w ustach angielskiego misjonarza, ten *Dzijsos Krajst!*... Żaden chyba naród nie przekreślił tak obrzydliwie Imienia Boskiego Reformatora. Ale to do rzeczy nie należy.

Oczywiście, podobne refleksje nigdy miss Lilianie nie przychodziły do głowy. Przeciwnie — była ona i jest przekonana, iż zasługi jej większe są niż wszystkich dobrych córek, żon i matek razem wziętych, że uczniowie jej zdumiewają świat czystością swych obyczajów i nieskazitelnością charakterów.

Toteż najdotkliwszym upokorzeniem i rozczarowaniem jej misjonarskiego żywota był wypadek, który przed kilkoma laty spotkał ją w Sierra Leone.

Przybyłą w odwiedziny do tamtejszej misji okradziono przy wylądowaniu z pozostawionej chwilowo na pokładzie torby podróźnej, w której znajdował się zegarek złoty, kolczyki i pieniądze.

Dzięki energicznym poszukiwaniom złodzieja po kilku dniach wykryto i miss Lilian, jako poszkodowana, wezwaną została do sądu.

Oskarżony, młody jeszcze Murzyn, o chytrej, nieprzyjemnej twarzy, ujrzawszy ją, zmieszał się trochę i niepytany zaczął się usprawiedliwiać:

— *Oh! Miss Aimley! True, I did not know it was yours! True, you do believe me!* („Och! Miss Aimley! Doprawdy, ja nie wiedziałem, że to było pani! Doprawdy, niech mi pani wierzy!”)

Miss Aimley zdziwiła się na razie, słysząc się tak zainterpelowaną z nazwiska przez sierraleońskiego rzezimieszka, ale wnet pomyślała o swej sięgającej wszędzie popularności i uspokojona, z pewnym nawet tajemnym zadowoleniem, spytała swym drewnianym głosem:

— Skądże mnie znasz?

— Och! — zawołał Murzyn z afektacją. — Och! Miss Aimley! Pani mnie nie poznaje? Ja nie tutejszy. Ja jestem Kofele! Byłem przez pięć lat uczniem pani w Kalabarze. *Oh! You have been always so satisfied with me!* (Och! Pani byłaś zawsze tak zadowolona ze mnie!)

Było coś tak bardzo humorystycznego w tym powoływaniu się złodzieja na aprobatę jego eksmistrzyni moralności, że wszyscy obecni uśmiechnęli się, a sędzia, młody Anglik, nienależący do grona wielkich przyjaciół misji, zapytał ją sarkastycznie:

— Czy i obecnie jesteś pani zadowoloną ze swego ucznia?

Miss Lilian nic nie odpowiedziała. Cytrynowa jej twarz okryła się purpurą, zdawało jej się, że ją wypoliczkowano. Szalony gniew — do jakiego nawet nie sądziła się być zdolną, zawrzał pod czarnym aksamitem jej sukni. Byłaby zgmiotła niefortunnego Kofele, a gdy ten w dalszym ciągu zabierał się upewniać ją, że nie wiedział, kogo okradał, syknęła mu przez zęby po eficku: „Jesteś bydlę!” — i wyszła.

Podobnych jemu egzemplarzy, nadzianych przez nią suchą jak wióry siekaniną formułek, w której ani jednej iskry żywej wiary i miłości nie ma, dużo zapewne chodzi po świecie, los jednak oszczędził jej dalszych doświadczeń w tym kierunku; dał jej jedno tylko Waterloo i sądzę, że szczęśliwsza pod tym względem od Napoleona, potrafiła o nim zapomnieć.

Tak mi się przynajmniej wydawało, gdym ją po raz pierwszy — nasłuchawszy się już o niej poprzednio — przy zwiedzaniu szkoły misyjnej w Kalabarze zobaczyła.

Dzieci, uszykowane parami, odbywały właśnie finalny marsz dokoła izby z akompaniamentem chóralnego śpiewu, podnosząc nogi wysoko i wyrzucając głowami w tył i naprzód niby źrebięta w manezu. Miss Lilian, usadowiona w pośrodku, wybijała takt dłonią o dłoń.

Gdy po skończeniu tej interesującej produkcji wstała przywitać się ze mną, wysoka, grubokoścista, dzięki czemu, mimo chudości, postawę ma okazałą, w swej wieczystej, czarnej, aksamitnej sukni, z krótkim stanikiem i szeroką, sfałdowaną suto u pasa, półogoniastą spódnicą, z przyczesanymi gładko na głowie ciemnymi jeszcze włosami, które jej spadają koło uszu w długich angielskich lokach, z koronkową fryzą u szyi i rąk, z twarzą gliniastą, zastygłą wraz ze swymi licznymi zmarszczkami jak galareta w formie, z jakimś niezmiennym wyrazem skupienia i powagi — obejrzałam się mimo woli zaraniami, z których ten stary, spłowiwały portret zstąpił ku mnie.

W rozmowie prosiłam ją, przez grzeczność, aby mi pokazała swoich najlepszych i najulubieńszych uczniów i ledwo to uczyniłam, musiałam przygryźć ust, by się nie roześmiać, bo mi jakiś chochlik wspomnienie owego, niefortunnej pamięci, Kofele napędził.

— Nie mam żadnych ulubieńców — rzekła sztywno — wszyscy oni są równi w oczach



Najwyższego i moich. (Wywnioskowałam stąd, iż miss Lilian dosyć po koleżeńsku traktowała Pana Boga). Ale ci dwaj są najzdolniejsi.

I zbiorem hymnów wskazała dwóch roślących chłopaków, w brudnych niebieskich kitlach i szerokich, w różowe kwiatki spodniach, spadających im poza bosc pięty.

— Pani już podobno trzydzieści lat na brzegu — rzekłam w dalszym ciągu — to istotnie zdumiewające!

Wyprostowała się. Szklane jej oczy zabłyśły, a wąskie usta wydeły się nieopisanym wyrazem dumy. Mumia ożyła.

— Tak! — odparła. — Jestem tu już trzydzieści lat!

I zwróciła się ku mnie całą twarzą, jak gdyby chciała powiedzieć: „Patrz i podziwiaj!”.

Co się tyczy mojej skromnej osoby, to pomimo że starała się być uprzejmą, jasnym mi było, iż mogła ją zaledwie tolerować.

Nie byłam *teatotelerką* i nie przyjechałam tu dla nauczania Murzyniątek. Jakąż więc była racja mojej egzystencji w ogóle, a w Afryce po szczególe!?

Prawdopodobnie — żadna.

Niech i tak będzie — miss Lilian!

Helena Pajzderska  
*Miss Lilian Aimley*

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:  
*STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition  
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-309-5

Fundacja Festina Lente  
ul. Nowoursynowska 160B/7  
02-776 Warszawa



FUNDACJA  
FESTINA LENTE  
[www.festina-lente.org.pl](http://www.festina-lente.org.pl)



[www.chmuraczytania.pl](http://www.chmuraczytania.pl)



[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)